Ryszard Turkiewicz

Kotlina

poezja

Tikkun

Ryszard Turkiewicz

Kotlina

Wimbr

— mówią piwa

mój przy, ciągłomij

wyjść

Ry

Wrocław XII 70 -

Ryszard Turkiewicz

Kadisza

Ryszard Turkiewicz

Kotlina

wyimki z encyklopedii psychogeograficznej

Marteczce i Marcie

TIKKUN

Warszawa 2004

Projekt okładki
Ryszard Turkiewicz
Obraz na okładce
Caspar David Friedrich

Wydano przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury

Wojewódzka i Miejska Biblioteka
Publiczna we Wrocławiu
100186744
821.162.1-3

© Copyright by Ryszard Turkiewicz 2004

ISBN 83-85683-34-8

Fundacja Literacka TIKKUN
im. Małgosi Arkuszewskiej
ul. Atanazego Kowalczyka 16/615
03-193 WARSZAWA
tel. 423 35 28

D-85/04

Teatr

na dnie kotliny był złotym wybuchem pośród detonacji kończącej się wojny, prawdą dotykalną w dekoracjach cierpienia i magazynach spleśniałych idei, które jeszcze niedawno wbijano do głów na lekcjach, niemiecki teatr zdjął mundur i stał nagi, niepewny, ale pełen dobrej woli jak każdy kuglarz pożądający uśmiechu i poklasku. W tym ciemnym krajobrazie dla przybyszy był przede wszystkim klejnotem.

Szafy

zastali otwarte, z naprędce wyszarpniętym płaszczem, szuflady komód leżące w bezładzie, być może w poszukiwaniu ciepłego szalika lub rękawiczek, równo poukładane pozostały ręczniki, nie były chyba najważniejsze, zabawki pokoju dziecinnego porzucone nagle, jakby w jednej sekundzie dzieciństwo przeistoczyło się w dojrzałość, został nawet niedojedzony obiad z obcymi potrawami, deptali z zażenowaniem po cudzym życiu, które odeszło do innej kotliny.

Odejście martwych

nastąpiło prawie równocześnie z wypędzeniem żywych. Barokowe krypty otaczające ciasno, ale w stosownym oddaleniu kościół, pewnej nocy opustoszały, zmarli spieszyli się gubiąc piszczele, czasem nawet czaszki. Ozdobne bramy ukazywały w stęchłym mroku osunięte niedbale płyty, nikogo nie dziwił ten exodus i choć dawne miejsca pochówku możnych tych ziem nigdy nie zostały zaludnione, było zrozumiałe, że i wśród odchodzących generacji też musi nastąpić wymiana pokoleń.

Szybowce,

niecielesne ptaki dzieciństwa, bez dźwięku, bez określonego celu, odpinające się z uwięzi maszyn cięższych od powietrza. Cienie zjaw podsklepiennych, wałęsających się między beztroskimi transformacjami chmur muskają i miniaturowe stokrotki i jadowite mlecze poutykane w wystrzępionej zieleni. Jeśli warstwa upału rozdziela żywioł niebieski i ziemski, dla źrenicy jest ona tylko soczewką, lunetą dla obserwacji szlaków, które wyraźnie wytyczone w ciszy znikają nagle i poczynają się w innym miejscu, oczywiste, ale tylko do następnego zwrotu wędrówki, wydaje się, tym razem bezapelacyjnego.

wydarto zboczom tuż po przybyciu, były substytutami ziem na zawsze utraconych, trybu życia niemożliwego tu do prowadzenia, były bez zwierząt domowych, bez rozchodzących się po rozległych równinach porannych odgłosów pojonej trzody i pobrzękiwania łańcuchów przy wieczornym powrocie z pastwisk. Tu, wysoko nad grządkami leniwie powarkiwał kukuruźnik, z niedalekiej odległości patrzyły na krzątaninę między grządkami spokojne góry, duch których zniknął wraz z ostatnią skrzynią porcelanowych brodaczy z maczugą w dłoni, działki rozrastały się, przybliżały do starego cmentarza na granicy miasta, stapiały się z nim, jakby były tu zawsze.

Chrabąszcze,

lęgły się z tęsknot majowych, małych białych domków co się w nocy śnią, oflagowych panien całujących w nieznanym języku, nadlatywały jak miła szarańcza, rycerze dobrych przeczuć, z kroplą niespełnienia pod pancerzem. Odlatywały nagle, jakby wysmagane gałązkami dubeltowego bzu, w fiolecie nieznanego smutku, bez gwarancji powrotu.

Pszczoły,

jak zwierzęta egzotyczne przeszmuglowane w ładowniach dalekomorskich statków przybyły tu nie wiadomo skąd i przez kogo porzucone, szybko opanowały umysły kolejnych zapaleńców budujących im fabryki miodu, wkrótce stały się bardziej znane niż jelenie z pulsującymi złotymi krzyżami uwidocznione na oleodrukach, a nawet od jelenia herbowego stojącego z dumnie podniesioną nogą na talerzach, kubkach, serwetach i drewnianych górach w sklepach z pamiątkami. Pszczoły niby zbyt spieszące zegarki miały swój udział w dorodności jesiennych owoców, ale i żądląc niechcący wprowadzały do ludzkich ciał serum dawnych krajobrazów, szerokich i spokojnych rzek, trawy umoczonej w rosie, potraw jakich tu nigdy nie było. Były elfami lata. Późną jesienią troskliwie wywodzono je z obszarów kwietnego żerowania, podążały za właścicielem jak za szczurołapem, ku strychom secesyjnych kamienic, gdzie opatulone w kosmatość i sen cierpliwie czekały na mesjasza z siatką na głowie.

Skałki,

czyli kilka wielkich, granitowych kamieni wetkniętych na skraju miasta w przypadkowy stok, mimo niedalekiej obecności otaczających kotlinę gór były alpami dla wielu rodzin. Odziedziczone po tamtych dzieciach drewniane sanki zjeżały błyskawicznie w dół, na ogół pozbawiając się rozochoconego, czerwonoliczkowego ciężaru. Skałki widziały też szczęśliwców wolno sunących na kandaharach, latem niektórzy zmęczeni upałem w dole wdrapywali się z przyborami skromnych ekwipunków sobotniego wypoczynku: niezbędnym zapasami gotowanych jaj i czarną kawą w zielonej butelce z fontażem drucianego zamknięcia. O każdej porze roku skałki były dobrym zapasem spokoju, radosnego krzyku dzieci, były dobrem w zasięgu spracowanej ręki, za miastem, ale w mieście.

Śnieg

nadchodził regularnie o swojej porze, był jak wolno, ale nieuchronnie opuszczająca się kurtyna, po ostatniej poincie umierającego króla, któremu kielich z trucizną wypadał z ręki, zwykle nocą albo wczesnym rankiem odmieniał widok wąskiego podwórka, znanego do znudzenia odcinka ulicy, czy czarnej korony drzewa. W opadłych pierzynach puchu dymy kominów traciły swój wigor i stawały się tylko krzywymi maźnięciami na szarym niebie, a głos dzwonów kościelnych tracił swą hieratyczność i był bliższy tępemu pukaniu dzięcioła w odległym lesie. Kotlina i szczegóły zabudowy tej pierwszej zimowej nocy przemieniały się w stary dagerotyp, a jej życie odcedzone z groźnej i pokrętnej historii spowalniało się, lecz ciągle obfitowało w mało ruchliwe zdarzenia jak egzystencja stawu pod warstwą lodu.

Strychy

budynków były ich pamięcią, początkowo nabrzmiałe zeszłorocznymi przetworami, suszącą się jeszcze bielizną i ukośnie poskładanymi promieniami zachodzącego słońca, stopniowo pozbywały się gazet pisanych gotykiem i tajemniczych starych aparatów, zapewne kiedyś bardzo użytecznych, przybywały kartonowe walizki, prawidła do butów, emaliowe garnki przetarte w miejscu styku z ogniem, sznury do bielizny zostawały zastąpione prowizorycznymi przewodami do nagich żarówek. Stare strachy ubrane w nieaktualne pajęczyny tkwiły jeszcze gdzieniegdzie w nieużywanych schowkach, lecz bano się już innej ciemności zapadającej nagle po stuku wyłącznika na klatce schodowej, posunięć myszy, która pamiętała już najnowsze trudne lata na polach. Pamięć strychu syciła się intensywnie teraźniejszością i chętnie przyjmowała wszystko o czym chcieli zapomnieć ludzie.

Ksiądz katecheta,

młody, z narzuconym świeżym bogiem na ramionach prowadzał w przerwach dydaktyki, po korytarzach, piwnicach i strychach: stalin nie istnieje, entropia jest, wszystko było w krzaku ognistym, wszechgalaktycznym, zamienimy się w próchno kosmiczne, ale on będzie zawsze, nawet po swojej niebywale hipotetycznej śmierci, będzie widział wszystko, z wysoka będzie spoglądał, spoza ostatecznej kreski, dlatego trzeba, koniecznie trzeba – zawróćmy, tym razem to tylko dzwonek na polski.

zawsze płytki, z trudem trzymał się języka, drobne przekleństwa, ledwo co narodzone rozpryskiwały się natychmiast jak bańki zużytego przez podwodnych mieszkańców stawu powietrza, gniew ojca był atawistycznym echem krwawych waśni plemiennych zza dalekiego Seretu, może nawet Dniestru, dowleczony do kotliny przez kościste chimery wojny był ziarnem zbyt słabym, aby owocować. Niewyrosły, zraz wpadał w ramiona przebaczania, głaskania, szybko przeistaczał się w oleum, rozlewał się jak spokojna fala zakrywająca wszystko i wszystkich.

ciągle przybierały inną postać, to kurczyły się jak dotknięta patykiem żmija, to znów stawały się jawnym desygnatem nieskończoności, całe miasteczko utkane było z ulic w ciągłym pulsowaniu swej określonej przez topografów wielkości. Nasze zadyszane przemieszczanie się od placu do teatru, ze skałek do wytwórni wód gazowych lub dalej jeszcze, poza granicę działek, było naznaczone małymi, prostymi myślami, ledwo zawiązkami uczuć. Wielkości ulic zmieniały się wraz powiększaniem gniewu, poczucia krzywdy, szalonej ulgi.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Mikułowskiego 3 Wrocław
100186744

były rytuałem gromady przybyłej do kotliny trwalszym niż małżeńskie ślubowanie i zmiany pór roku. Członkowie rodzin zmieniali stoły i nakrycia, w różnych konfiguracjach napływały szarlotki i sałatki włoskie, torty trafiały na koniec jako anielskie fanfary po przybyciu w niebieskie przestrzenie, dzieci usadowione przy stolikach niższych niż chóry wujów i ciotek i prezydia matek i ojców odbywały ciche dysputy z resztkami kremów i sałatek na drobnych obliczach, domowe wina i nalewki wyzwalały pieśni kanoniczne: o czerwonych pasach, połoninach i dzieweczkach, zmywanie naczyń było tylko interludium między następnymi imieninami.

Pączki

były poematem matki, opus magnum repertuaru wiodącego przez kruchy placek z kruszonkami, kruchy placek ze śliwkami, a także szereg odmian ciast drożdżowych, w końcu kopertek z kroplą marmoladki w środku i kropką migdału na lukrowanej powierzchni, pączki były na miarę burzy braw, jaką zbiera pogromca wkładający głowę do paszczy lwa, kilka było ich wersji, lecz ostała się kula kulinarna, wyrabiająca się w swojej okrągłej doskonałości prawie samoczynnie, z lekką pomocą drożdży i ciepła kuchennego, ciasto faszerowane różą chyba osmotycznie, miało konsystencję zbliżoną do potraw niebiańskich – stałą, lecz rozpadającą się prawie natychmiast w chwili słodkiego spożywania- więc było ziemskie i nieziemskie zarazem, w końcu pączki ubierane były w kielichy białych serwetek. Tak oto pączki na wielkich, poniemieckich talerzach były jak krzaki białych kwiatów rosnących jednak najczęściej zimą, bardzo się przyjęły w tym klimacie i chyba będą tam rosły już zawsze.

matki przywieziony został z dalekiego miasteczka, jeszcze mniejszego niż to w kotlinie. Troskliwie opatulony nią samą pokazywany był w każdą niedzielę na balkonie kościoła, jego czystość i promienność docierały do każdego z wiernych, nawet do tych klęczących na wytartej posadzce, ich suche modlitwy wypadały niedopowiedziane z ust a oni odwracali głowy ku górze, ku źródłu dźwięków. Wysoka przestrzeń kościoła oddawała się pokornie zstępującym, zielonym łąkom, procesjom w dźwięku małych dzwoneczków i fali jeszcze drobniejszych łez, niewypłakanych nie wiedzieć dlaczego dotychczas. Szczęśliwi, którym dane było oglądać kryształ w prozie codzienności!

Kasjerka

kina położonego w bliskości szyn tramwajowych mająca chyba za ojca samego Rubensa była dawczynią przepustek do sfory cieni, które oświetlone czarodziejską wiązką światła z kabiny na balkonie zamieniały się w życie tak kolorowe i bujne. Dawczyni wąskich skrawków papieru z niedbale położonymi znakami rzędów i foteli nie była świadoma swojej władzy, nie wiedziała, że daje przepustki do światów sekretnych, co odmieniają życie ludzi na zawsze. Beztrosko zamykająca się w bursztynie kasy chroniła się być może tą kapsułą przeciwko nieokiełznanym światom powoływanym tuż obok niej, była jak Ewa podająca jabłko wiedzy i tak samo jak Ewa niewinna.

przyciągała w każdą niedzielę spokrewnione rodziny. Gromady dzieci wraz z rodzicami wydostawały się poza ostatnie zabudowania i wędrowały wzdłuż rzeki drogą utwardzoną jeszcze przez dawnych mieszkańców, podręczne torby ciążyły kanapkami z hostią kiełbasy i herbatą w butelkach, perłą było drewniane schronisko położone nad skalistym urwiskiem, w dole pieniła się woda, dzieci zmęczone marszem i odurzone wysokością z której dało się w dole widzieć rozbijane o kamienie fale, nie myślały o wyjątkowości miejsca anonsowanego na każdym planie turystycznym. Wyjątkowość powtarzana rytualnie stawała się nudą nie do zniesienia i tylko lekkość opróżnionych toreb w drodze powrotnej była prawdziwą atrakcją.

Fotel dziadka

był maszyną do czytania. Między oparciem, a grubymi szkłami przetaczały się treści popularnych książek na temat chorób leczonych prostymi sposobami, opisy dalekich krajów z miedziorytniczymi ilustracjami, klasyka niemiecka i polska, baśnie z wielu obszarów geograficznych, czarnobiałe podręczniki szkolne, szeleściły przebrzmiałymi treściami wielkoformatowe czasopisma, nieaktualne komunikaty wojenne przeplatały się z hasłami propagandowymi. Czytanie dziadka stanowiło proces biologiczny, jak oddychanie czy spożywanie posiłków, pytania o wrażenia z lektury nie miały sensu, proces ustawał, kiedy brakowało papierowego paliwa. Wtedy należało iść spać.

był nikomu, a przecież wszyscy obcowali z ckliwym pięknem otaczających kotlinę gór, wszyscy na codzień ocierali się o zgniłą zieleń mchu pod bezkanciastymi, wielkimi kamieniami i fioletem niektórych zachodów, nieuważni ścierali werniks setek obrazów opartych jak na licytację o stoki, widzieli je przecież, ale sądzili, że są zwykłe, codzienne i nic nie warte, olejne oryginały były co prawda daleko stąd, w muzeach ważnych miast za wieloma granicami, ale ich podręczne, staranne duplikaty wisiały w wielu domach. Może to ówczesny czas sprawił, że najważniejsze było drzewo, trawa i deszcz, artystycznie przetworzone widoki ciekawić miały ich dzieci, na razie w ochronkach.

Hamletów ubieranie,

ale i Don Carlosa, Grzegorza Dyndały, Fąsia, surowej Lubow Jarowaji, królów i księżniczek, błaznów, a także postaci nijakich, drugoplanowych, lecz koniecznych, odbywało się przy pomocy ciotek z pracowni krawieckiej, czasami bywały bileterkami, sprzątaczkami czy bufetowymi, w ich rękach były losy królestwa, uroczyste fanfary zapowiadały wejście na scenę postaci w złocie i brokatach, sukniach i żabotach, wiarygodność rządzenia bardziej zależała od sposobów przemienienia prostackiego barchanu w wyrafinowane pantalony niż dawno zapisanej konstrukcji dramatu, ciotki robiły to co zawsze; z lichych materiałów kroiły godność do ubrania i do zazdroszczenia.

Teatr nocą

był na pozór pustą skorupą wypełnioną ciemnym kurzem kotar, podtrzymywaną w swym ogromie linami do ruchu kurtyny i dekoracji. Postaci sceniczne trwały w bezruchu przyssane do gołego sufitu sceny jak nietoperze, fotele widowni przykucnęły za to przy podłodze, wyzwalając się dyskretnie z tanich perfum, potu śpiącego żołnierza i ostatnich włosów starej głowy. Jedyna zbudowana ściana wielkiego pałacu straciła w ciemnościach swą wspaniałą perspektywę na wytworne ogrody i zwisała jak ogromne prześcieradło niechlujnie pomalowane farbą, matowy dźwięk gongu spał głęboko w nocy, płytko drzemał za dnia by ostatecznie wybudzić się wczesnym wieczorem.

powodowała tuż przed północą niespieszne, ale magnetyczne ruchy w uśpionym mieście. Odmykały się bramy prowadzące na malutkie podwórka, skrzypiały kute furty podmiejskich willi, odurzeni ciepłem pokoi ludzie zdreptywali ze zboczy, gramolili się rozespani ku centrum, ku przysadzistej ewangelickiej świątyni, oczekującej, ale prawie ciemnej, jakby przyczajonej, ale świadomej swojej hipnotyczności. Po pewnym czasie ruch na zewnątrz prawie zamierał, nieliczne kroki stukały teraz w mroźnym powietrzu nerwowo. Była rozległa, ale naprężona kula nicniemówienia i nicniegrania, która o północy pękała światłami i śpiewem znów pełnym ulgi i nadziei. Ta i inne świątynie jasne i radosne były chyba teraz widoczne z kosmosu jak mur chiński.

Ciotka wędrująca

miała 100 lat, miała dzieci, ale wędrowała po znajomych, po innych ciotkach i prawie obcych, zmywała naczynia po poczęstunku, coś mówiła i coś myślała, ale głównie tkała kilim wesel i pogrzebów, przepisów kulinarnych i złych postępków mężów, postępów w nauce, fluktuacji pogody i strzyknięć w kolanach. W końcu zapalała papierosa i wracała nocą do pokoiku na krzywej ulicy. Kilim opadał dając poczucie swojskości i przytulności, łagodziły się zatargi i każdy dzień razem ze swoją nocą toczył się powoli, ale nieustannie.

drewniany, albo ze sztucznej masy perłowej, albo z górskiego kamienia, przywieziony stamtąd, czy też kupiony już tutaj był w ciągłym użyciu, podniszczony od gorących modlitw, pomoczony wylewanymi łzami był jak piorunochron i zioło leczące zarazem, nie dorównywała mu żadna uczona księga, był dla niepiśmiennych i inteligencji pracującej, nie prosił o nic zwinięty w kłębek na nakastliku, a chciano go tak często, odwzajemniał się układając kiedy należało w szczeble prowadzące wprost do nieba.

Procesje

wypełzały jak kolorowe stonogi zwykle w upał, pobrzękiwały nieustannie małymi dzwoneczkami, dymiły kadzidłami, pożerały zielone brzózki przy ołtarzach, a odchodząc znaczyły swą drogę czerwienią zdeptanych płatków piwonii. Po kilku godzinach dematerializowały się zupełnie, ich cząstki znikały w ulicach odległych od centrum, jakby przyciągane wonią wczesnych obiadów, po roku, znów w słoneczną pogodę, pełne modlitewnego turgoru odradzały się znowu.

Kredens,

szeroki, trójdzielny, z wysuniętym dziobem na większe talerze i półmiski żeglował przez zawieruchy wojen i migracje, w nocy, gdy skrzypiały deski malowanej podłogi podzwaniał cicho kieliszkami kryształowymi i tymi ze szkła białego, z ręcznie malowanymi widoczkami okolicznych uzdrowisk, matowy dźwięk wydawały spatynowane sztućce w imitujących skórę pudełkach, pośród zastanej zawartości zwalistego kredensu przycupnął porcelanowy serwis w czerwone maki, podarunek weselny z czasów tak niedawnych, a tak odległych, z obszaru, który należał już do innych map. Był arką przymierza pokoju stołowego dla zastawy z różnych epok i gustów, gablotą muzealną, w której kryształ był zdobyczą wojenną, a porcelana ze stemplem korony na spodzie wspomnieniem radosnego dnia, który miał trwać w niekończącym się szczęściu.

preferowana przez ojca była słońcem przewiezionym z kraju jego dzieciństwa, czasami nieco zasnutym delikatnymi obłoczkami mleka w wydziobanych łyżką wklęsłościach, czasem z twardym skwarkiem będącym zapowiedzią burzy, dzieci wolały szlachetny mahoń kaszy gryczanej, też ze stron ojca, ale potrawę bardziej swojską i zrozumiałą, rzadziej pojawiał się w białej szacie ryż, był jednak obcokrajowcem, przy tym nijaki i przez to nielubiany przez podniebienie, najbardziej ukochana była jednak kasza manna, lekka, nieco zarumieniona cynamonem lub w wersji z cukrem, zgrzytającym, ale w sposób pobudzający do śmiechu i kuksańców.

należało przecedzić przez kratkę konfesjonału, te mniejsze, spod znaku kawałka kiełbasy ukradkiem zjedzonego w piątek od większych, na przykład zachłannym oglądaniu ilustracji z nagimi paniami w przedwojennym poradniku lekarskim, czy jawnym zaniechaniu uczestnictwa w zbyt rannej mszy, delikatne puknięcia w obramowanie konfesjonału były jak trąby zwiastujące wejście w nowy, czysty świat. Po wyjściu z kościoła anioły zlatywały się jak gołębie, towarzyszyły oczyszczonemu jeszcze długo w jego radosnej wędrówce po wygodnym chodniku czystego sumienia. Wyznanymi grzechami zajmował się prawdopodobnie kościelny, lecz to działo się już poza oczami spowiedników.

był jak nagłe wtargniecie obcego, szalonego świata, który okazywało się istniał poza krawędzią otaczających gór. Pochyleni w ostatecznym napięciu walki, w obłoku potu i skrzypieniu łańcuchów kolarze przewlekali przez kotlinę jak przez dziurki guzika nici sławy i pożądania, ale też wyzwalali nieokreślone marzenia, które wraz z pierzchającymi sekundami widowiska topniały, jakby ich nigdy nie było. Oglądający ukradkiem spoglądali na siebie usiłując potwierdzić ulotnie istnienie zjawiskowej tęczy, którą obserwuje się zwykle tak intymnie.

Piekarnia

wydająca rano i po południu niewielką ilość gorących bochenków, wymuszających naprzemienną pieszczotę obu dłoni, była dwukrotnie otwieraną puszką zapachów nie tylko raz na zawsze ustalonej alchemii mąki, wody, drożdży, ciepła wyrastania i ognia wypieku, ale wszystkich dobrych woni z przeszłości i każdego dnia na sznurku wleczonego żywota, była zapachem pożywienia prostego i jednoznacznego, bez ceremoniału srebrnych narzędzi i krochmalonych serwet, zapachem stareńkiej kory na drzewach w cichym lesie i zżętej trawy, by rosła szybciej. Zapachy małej piekarni torowały sobie drogę nawet przez najbardziej tępe nosy do uśpionej pamięci i wygładzały napięte twarze.

Okno

z kuchni ukazywało nie tylko wieżyczkę liceum zaopatrzoną w zegary dla każdej strony świata z osobna, nie tylko łagodne zbocza kotliny z delikatnym rysunkiem lasów, łąk i miniaturkami zabudowań, zasklepiając dyskretnie, ale stanowczo horyzont otwierało pole do domysłów i pytań: czy kotlina jest jedynym wszechświatem w tej okolicy? kto ją stworzył i dla kogo właściwie? Drewniana rama okna kuchennego ze zniszczoną farbą była furtą dla ciekawych oczu i kłębiących się myśli, czasem nagle napływały deszczowe chmury, zrywał się wiatr i wszystko trzeba było odłożyć na później.

Góra

była zwieńczeniem zamykającego miasto pierścienia, widać ją było tylko z czwartej części wszystkich okien. Dumnie okryta prawie cały rok białą pelisą śniegu, samotna w swej odrębności kusiła nieokreśloną tajemnicą, ale była też latarnią dla wędrowców i wiecznym pośrednikiem między poziomem codzienności i bożą wertykalnością, góra w istocie symbolizowała nadzieję.

Ostatni śnieg

spadł na kotlinę wiele lat po tym jak przybywając zobaczyli na horyzoncie złote wieże teatru z białymi flagami. Przykrył wszystkie groby i jeszcze ten – niewykopany - w którym miało zostać położone stare ciało wraz z dawnymi lękami, kawałkiem spokojnego szczęścia i zniszczonym różańcem. Napłynęła wielka cisza w której gdzieś powstawały młode światy rozwijając się wraz ze swoimi dźwiękami, smakami i planami, śnieg zerował nierówności terenu i oddawał ziemię nietkniętą. Biały raj otwierał się na nowo i stanowił pokusę, której jak zawsze nie sposób było się oprzeć.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Mikulskiego Wrocław

Spis treści

Teatr ---------- 5
Szafy ---------- 6
Odejście martwych ---------- 7
Szybowce, ---------- 8
Działki ---------- 9
Chrabąszcze, ---------- 10
Pszczoły, ---------- 11
Skałki, ---------- 12
Śnieg ---------- 13
Strychy ---------- 14
Ksiądz katecheta, ---------- 15
Gniew ojca ---------- 16
Odwieczne imieniny ---------- 18
Pączki ---------- 19
Kryształ śpiewu ---------- 20
Kasjerka ---------- 21
Perła kotliny ---------- 22
Fotel dziadka ---------- 23
Friedrich nieznany ---------- 24
Hamletów ubieranie, ---------- 25
Teatr nocą ---------- 26
Pasterka ---------- 27
Ciotka wędrująca ---------- 28
Różaniec ---------- 29
Procesje ---------- 30
Kredens, ---------- 31
Mamałyga ---------- 32
Grzechy ---------- 33
Peleton ---------- 34
Piekarnia ---------- 35
Okno ---------- 36
Góra ---------- 37
Ostatni śnieg ---------- 38

Fundacja Literacka TIKKUN wydała dotychczas:

Renata Maria Niemierowska *Brodaty serafin*
Ryszard Turkiewicz *On i my*
Teresa Smurzyńska *Pierwszy grzech*
Bohdan Kos *Podróż złudna*
Janusz St. Pasierb *Ten i tamten brzeg*
Sławomir Różyc *Goya i inne żelazne kawałki*
Stanisław Stabro *Zamknięty rozdział* (wspólnie z wyd. OPEN)
Anna Kamieńska *Tout est dans les psaumes*
Maria Bigoszewska *Ciało niepewne*
Artur Międzyrzecki *Rzeka czarownic*
Jacek Podsiadło *Dobra ziemia dla murarzy*
Jacek Kozik *Ślad po marzeniu*
Krzysztof Jeżewski *Muzyka*
Adam Bieszk *Żegnanie*
Sefer Jecira – Księga Stworzenia
Rozmaite adnotacje, przypadki, czynności i anekdoty Pańskie
Abraham Joshua Heschel *Pańska jest ziemia*
Robert Gawłowski *Podróż chroniczna*
Katarzyna Miller *Stołeczek*
Andrzej Suryn *Światło*
Janusz Kotański *44 wiersze*
W poszukiwaniu żydowskich kryptochrześcijan. Dzienniki ewangelickich misjonarzy z ich wędrówek po Rzeczypospolitej w latach 1730-1747
Rainer Maria Rilke *Historia opowiedziana ciemności*
Waldemar Okoń *Poematy nadziemne*
Peter Gehrisch *Zraniony słowem wers*
Janina Osewska *W stronę ciszy*
Adam Bieszk *Ciemny wachlarz*
Lech Robakiewicz *Tam jest tu czyli poradnik magii białej*
Marek Śnieciński *Jak cię milczeć*
Renata Maria Niemierowska *Dmuchawiec*

25,

Dolnośląska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu

100186744

Ryszard Turkiewicz (1940 r.) urodził się w Bilczu Złotym (woj. Tarnopolskie).
W latach 1945 - 2000 związany był z Jelenią Górą dokąd przybył z rodzicami wraz z grupą młodych aktorów.
Absolwent bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, pracuje w Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu.
Debiutuje w roku 1992 tomikiem wierszy *On i my*.
Kotlina jest bardzo osobistą refleksją nie tylko nad pierwszym etapem życia przybyszy ze Wschodu w Jeleniej Górze, ale i podobnych miastach i miasteczkach Polski zachodniej.

TIKKUN